

GAZETA POLSKA

Pismo tygodniowe bezpartyjne poświęcone sprawom polskim w Brazylii.

Adres dla listów zwyczajnych:

»Gazeta Polska«, Curityba-Paraná, Caixa postal »B«.

Adres dla przekazów pocztowych (vales postaes), listów poleconych (registrados) i pieniężnych:

»Gazeta Polska«, Rua Dr Muricy 143, Curityba-Paraná.

Redakcja mieści się przy ulicy Dr. Muricy Nr. 143

Redaktor i wydawca: F. DYBOWICZ.

Drobne ogłoszenia po 200 rs. za wiersz lub jego miejsce. Ogłoszenia większe według umowy.

Numer pojedynczy kosztuje 200 rs.

Przedpłata wynosi:

Rocznie	8 milr.
Półrocznie	4 milr.
Dla Argentyny	7 pesów pap.
„ Ameryki Półn. i Kanady	3 dolary
„ Królestwa Polsk. i Rosyi	7 rubli
„ Austrii	16 koron
„ Państwa niemieckiego	14 marek

Prenumeratę zamiejscową przyjują PP.

Bolesław Kłowski	Ponta Grossa
Michał Nowacki	Nova Galicia
Jan Puchalski	Sao Matheus
Jan Szklaniarz	Prudentopolis
Adolf Schirl	liaty
Stanisław Frydych	liaty

W Argentynie: The Standard 152 Calle Maipu 152 Buenos Aires.

W Ameryce Północnej: Ameryka-Echo 1140 Nebraska Ave. Toledo — Ohio.

W Austrii (Europa): G. Gebethner Co. 23 Rynek Główny, Kraków, Galicya.

Nasza prasa i nasze biblioteki.

Najważniejszym czynnikiem oświatowym obok szkoły jest słowo drukowane czy to w formie czasopisma, czyli gazety, czy też książki o treści pożytecznej. Szkoła sama, a w szczególności taka na jaką my tutaj z być się możemy jest jedynie środkiem przygotowawczym do dalszego kształcenia się, daje ona możliwość zrozumienia wielu zagadnień z wszystkich gałęzi wiedzy, wprowadza nas w świat nowo zupełnie nieprzystępny dla ludzi pozbawionych wiadomości zasadniczych, jakich ona udziela, ale samo przez się nie jest w stanie przygotować nas do życia praktycznego i dać nam ten szeroki, wszechstronny pogląd na świat, jego zjawiska i wszelkie objawy życia społecznego i ekonomicznego, bez którego nie możemy dotrzymać kroku innym narodom cywilizowanym. Dopiero czytanie gazet i książek daje nam wykształcenie we właściwym tego słowa znaczeniu, niema bowiem materii, o którejby się z nich nie można było dowiedzieć. Ztąd też stopień oświaty jakiegoś narodu ocenić można według liczby i jakości dzienników i książek przez niego czytanych. Im jakiś naród więcej czyta, czyli im więcej zużywa pokarmu duchowego, tem jest oświecenijszy, a że z oświatą idzie w parze dobrobyt, tem będzie zamożniejszy. Czy tu w Paranie prasa polska spełnia to zadanie oświatowe, czy jest ona tym czynnikiem cywilizacyjnym uzupełniającym szkołę, otwierającym

szersze widnokręgi pod względem oświaty bardzo zaniedbanej kolonii polskiej? — Jeżeli będziemy szczerzy, to ze smutkiem wyznać musimy, że nie, że prasa nasza nie spełnia tego posłannictwa do jakiego z natury rzeczy jest powołana. Należy więc zbadać, czyja w tem wina, czy prasy samej, czy też społeczeństwa, dla którego jest przeznaczona. Tu już z całą stanowczością twierdzić musimy, że wina za niedomaganie prasy polskiej, leży wyłącznie i jedynie po stronie tutejszego społeczeństwa polskiego. Wszak liczbą prenumeratorów w stosunku do ilości Polaków w Paranie jest tak śmiesznie mała, że dziwić się wypada, jak tu jeszcze dwa tygodniki utrzymać się mogą. Czy to nie smutne że na 100 tysięcy Polaków w Paranie i kilkanaście tysięcy w innych stanach brazylijskich, liczba prenumeratorów obydwóch tygodników razem nie dochodzi 2000? Jeżeli jeszcze odłączymy z tej liczby 25 procent tych, co nadużywając dobrej wiary i ciężkiego położenia wydawców, z zasady nie płać, to się przekonamy, że wśród Polaków mieszkających w całej Brazylii przypada 1 prenumerator na 80 głów. Byłoby to śmieszne, gdyby nie było bolesne. Więc my, którzy się zaliczamy do narodów cywilizowanych, którzy się szcycimy przynależnością do narodu o tysiącletniej kulturze doświadczyliśmy na polu czytelnictwa do takich rezultatów? Nie mówiąc już o dziennikach krajowych, przypatrzmy się tylko gazetom niemieckim: Na kilkanaście tysięcy Niemców parańskich przypadają 2 gazety wychodzące w Kurytybie 2 razy tygodniowo, każda z nich ma przynajmniej tytułu prenumeratorów, co obydwa polskie tygodniki razem. Poza tem po cześć europejska przywozi całe stopy dzienników niemieckich dla swych prenumeratorów zamorskich, a w stanach S. Paulo, Sta Catarina i Rio Grande wychodzi kilka gazet niemieckich z liczbą prenumeratorów dla nas niedosłigłą. Powiedzielibyśmy, że my biedni, że Niemcy bogatsi i mogą sobie pozwolić na prenumerowanie nie tylko jednej, ale kilku gazet; twierdzenie takie jest mylne, bo widzimy że i u najbiedniejszego Niemca gazeta jeszcze znajduje się na stole, a wśród nas u wielu, nawet bardzo zamożnych, uchodzi to albo za zbytek, albo za rzecz zgoła niepotrzebną, niepożyteczną. Przytem wydawcy gazet polskich, dla pozyskania sobie czytelników za jakąkolwiek cenę, tak obniżyli prenumeratę że nie wiadomo za co się płaci, czy za papier, czy za pracę redaktorską.

Wobec takich stosunków gazety nie mogą się ani rozwijać, ani odpowiadać swemu zadaniu. Dochody są tak małe że z trudnością tylko starczą na utrzymanie wydawcy i redaktora w jednej osobie, a o wynagrodzeniu współpracowników niema nawet co mówić. Jest wprawdzie kilka osób inteligentnych, które pragną przyjąć z pomocą redakcyom nadsyłając od czasu do czasu krótkie artykuły ale jest to pomoc niestała, tak że często ca-

łymi tygodniami redaktor-wydawca pozostawiony samemu sobie załatwiać musi pracę, która stanowczo przechodzi siły jednego człowieka. Obowiązany on jest jeszcze pod utratą abonentów, obok redagowania, administrowania i ekspedycji gazety, do załatwiania tysiącznych prywatnych interesów swoich prenumeratorów, którzy go uważają za swojego tutumfackiego za „człowieka do wszystkiego“. Obok zupełnie obojętnych i nie odczuwających potrzeby czytania, wielu jest takich, którzy pomimo tak niskiej ceny nie mogą się zdecydować na zaprenumerowanie gazety, nie dlatego aby na to nie mieli, bo nieraz na jedną pohlankę wydają więcej niż całoroczną prenumeratę gazety, ale że przyzwyczaili się do czytania bezpłatnego, na koszt drugich, przez nadużywanie uczynności sąsiedzkiej. Prawie zawsze zdarza się, że prenumeryujący jakąś gazetę opędzić się nie może sąsiadom, którzy korzystając z uczynności sąsiedzkiej mają za darmo to, za co drudzy płacić muszą. Tak dalece nie byłoby w tem nic złego, i owszem należałoby pochwalić zamiowanie do czytania, gdyby się to nie działo ze szkodą dla samego pisma, któremu wskutek takiego systemu nie może przybywać nowych prenumeratorów. Liczba czytelników płatnych t. j. tych, którzy rozumieją i uznają ciężką pracę i trudne położenie materialne redaktora-wydawcy, jest znikająco małą, jeżeli zatem większość czytających nie może przyczynić się nie będzie do podtrzymania gazety, to ta nigdy należycie rozwiniąć się nie będzie w stanie, na czem w pierwszym rzędzie czytająca publiczność ucierpi. W interesie więc tak własnym, jak i pism polskich powinni prenumeratorowie skończyć raz z tą uczynnością sąsiedzką tembardziej, że nikt nie jest tak biednym, aby nie był w stanie opłacić prenumeraty obniżonej do ostatecznych granic, a płatnej w ratach dowolnych. Im więcej pisma nasze będą miały płatnych prenumeratorów, tem treść ich będzie bogatszą, bo rozporządzając jakąś nadwyżką z dochodów, mogą postarać się o współpracowników osób kompetentnych, co dotychczas było nie możliwym. Może to jednak nastąpić tylko wtedy, jeżeli sami prenumeratorowie przyjdą nam z pomocą zmuszając swych bezpłatnych czytelników do ponoszenia kosztów prenumeraty na równi z innymi. Wszak prasa nie jest własnością wydawcy ni redaktora, ale należy do ogółu, a podług wartości prasy sędzi się wartość danego społeczeństwa. Jeżeli ktoś obcy wyda sąd o naszej prasie, to nie powie on, że to jest gazeta, czy tygodnik należący do p. X ale nazwie ją prasą polską, a według niej sędzić będzie o stopniu naszej kultury. Jeżeli więc prasa polska w Paranie dotychczas nie stoi na tej wyżynie na jakiej stać powinna, to winien temu jest ogół polski, który w dziwnej swej obojętności na własną godność, nie udziela jej należytego poparcia tak materialnego, jak moralnego.

Nie lepiej przedstawia się sprawa naszych

bibliotek. Niema towarzystwa, któreby nie posiadało większego lub mniejszego księgozbioru. Uważają one sobie za punkt honoru mieć szafę z pięknie ułożonymi książkami, ustawioną w miejscu najwidoczniejszym. Jakż jednak jest korzyść z takiej biblioteki? Korzyść jednorazowa, zupełnie taka, jak z raz przeczytanej książki. Biblioteka taka, z natury rzeczy, nie bardzo bogata, przeczytana bywa przez członków towarzystwa w ciągu kilku miesięcy, a ponieważ zwykle brakuje środków na jej systematyczne powiększanie, więc w krótkim czasie zamienia się na rodzaj muzeum, czy archiwum zdobiące salę towarzystwa, bez najmniejszego pożytku dla członków. Doszło do tego, że jedyną książką czytana dzisiaj po kolonjach jest kalendarz treści pozostawiającej wiele do życzenia.

Byłoby więc na czasie zastanowić się nad tem, czy nie znalazłby się sposób zreformowania istniejących licznych bibliotek w sposób, aby lepiej odpowiadały swemu zadaniu. Naszem zdaniem, jedynym wyjściem jest utworzenie jednej wspólnej biblioteki w Kurytybie, któraby zaopatrywała wszystkie towarzystwa w potrzebne książki, wymieniając przeczytane na świeże w pewnych ograniczonych odstępach czasu. Zawiązką tej wielkiej biblioteki byłyby oddane dobrowolnie wszystkie dotychczasowe biblioteki towarzystw nie przynoszące dzisiaj nikomu żadnego pożytku, a nie ulega wątpliwości, że znalazłby się fundusz na zakupno coraz więcej nowych dzieł tak, że w krótkim czasie mielibyśmy księgozbiór, jakim się tu do dzisiaj dnia żadna z innych narobowości pochłubić nie może.

Jestto naturalnie tylko plan z grubsza zarysowany, a wszelkie szczegóły musiałby być przez specjalną komisyję opracowane, jeżeliby na przyjęcie zasługiwał. Wszystkich tych, którzyby się tym projektem zainteresowali, prosimy o zabranie głosu w tej sprawie.

Ruch emigracyjny w Paranie w r. 1911.

W roku ubiegłym przybyło do Parany 9788 emigrantów, i tak:

W styczniu 203. — Na własny koszt 20. — Na koszt rządu, 183. — Żonatych, zamężnych, 68. — Wolnych, 130. — Wdowców i wdów, 5. — Męskich, 119. — Żeńskich 184. — Polaków z pod zaboru rosyjskiego, 18. — Polaków z pod zaboru austriackiego, 171. — Niemców, 14.

W lutym 190. — Na własny koszt 38. — Na koszt rządu 152. — Żonatych, zamężnych, 71. — Wolnych, 117. — Wdowców, wdów, 2. — Męskich, 110. — Żeńskich, 80. — Po-

Conan Doyle.

Debiut*) bimbaszy Joyce'a.

Przekład E. L.

Było to w czasach, kiedy zalew mahdyzmu, który sięgał Wielkich Jezior i Darfuru aż do granic Egiptu, doszedł do szczytu, a nawet — jak się dopatrywali niektórzy — zaczął opadać. Pochłoniętą całą armię Hicksa, przeprętną ponad Gordonem i Chartum, toczył się za brytyjskimi zastępami, które się cofały z biegiem rzeki i w końcu rozpadł się na kilka łup chciwych oddziałów, posuwających się na północ, aż do Assouan.

Niebawem znalazł inne jeszcze ujścia na wschód i zachód do środkowej Afryki i Abisynji, tak że opadł nieco pod Egiptem. Przez dziesięć lat następnych był względny spokój, w ciągu którego graniczne garnizony miały wzrok skierowany ku owym oddalonym błękitnym wzgórzom Dongoli. Poza fioletowymi mgłami, która je otaczała rozciągała się kraina krwi i grozy; od czasu do czasu jakiś awanturnik odważył się pójść na południe ku

owym omglonym wzgórzom, zwabiony tam opowiadaniem o kauczuku i kości słoniowej, lecz żaden z nich nigdy nie powracał.

Raz tylko przedostał się stamtąd pokaleczony Egipcjanin, a raz Greczynka oszalała prawie z pragnienia i trwogi zdążyła do granicy Egiptu. Był to jedyny napływ z owej strasznej krainy.

Czasami promienie zachodzącego słońca zamieniały owe góry oddalone w wały purpury, a ciemne chmury odcinały się od tych groźnych mgieł jak wyspy na morzu krwi. Wyglądało to jak ponure znaki, tajemne a groźne, napołudniowemu niebie, gdy na nie patrzano z okrytych fortecamy wzgórz koło Wady Halfa.

Dziesięć lat dobrych czasów w Chartum, dziesięć lat spokojnej pracy w Kairze, a wszystko było gotowe dla cywilizowanych narodów, aby mogły urządzić ponownie wycieczkę na południe, wybierając się, jako to już było ich zwyczajem, w pełnym uzbrojeniu.

Wszystko było gotowe, aż do ostatniego osiodłanego wielbłąda, a jednak nikt się tego nie spodziewał, bo i niekonstytucyjne rządy mają swoje korzyści. Wielki jakiś administrator pertraktował, urządził i pochlebiał wielki wojownik organizował, układał plany i sprawiał, że piastry robiły swoje, tak samo jak angielskie funty i szylingi. A potem, pewnej nocy obaj ci mistrze spotkali się i podali sobie ręce, a wojownik znikł i poszedł własnymi drogami.

I właśnie w tym czasie bimbasza*) Hilary Joyce wystąpił z oddziału królewskich fizyliów, o wylogach koloru malwy i przydzielony czasowo do dziewiątego oddziału Sudańczyków zjawił się po raz pierwszy w Kairze.

Napoleon powiedział, a Hilary Joyce zapamiętał sobie, że wielką sławę można uzyskać jeszcze tylko na wschodzie.

Przybył więc na wschód zaopatrzony w cztery puszki konserw, uzbrojony w pałasz Wilkinsona i strzelającą odłankami metalu pistolet Bonda, jakoteż w jeden egzemplarz Greena „Wstępu do studjum języka arabskiego“. Zaopatrzony tak i uzbrojony, z gorącą krwią w młodych żyłach wierzył, że wszystko pójdzie łatwo.

Bał się trochę generała, bo słyszał o jego surowości dla młodych oficerów, spodziewał się jednak, że taktem i spokojem wyjdzie z nim jak najlepiej. Tak więc, zostawiwszy swoje rzeczy w hotelu „Pod pastercem“, poszedł zameldować się do głównej kwatery. Ale nie przyjął go generał, gdyż był nieobecny — sprawy jakieś powołały go gdzieś indziej — tylko naczelnik oddziału informacyjnego.

Hilary Joyce znalazł się przed niskim, krępy m oficerem o łagodnym głosie i spokoj-

nym wyrazie twarzy, pod którym się jednak ukrywał niezwykle bystry i energiczny umysł. Z tym swoim dobrodusznym uśmiechem i szczerem wystąpieniem umiał on podejść najprzebieglejszego syna wschodu. Stał właśnie z cygarem między palcami i patrzył na wchodzącego.

— Słyszałem, że pan przybył — rzekł — Szkoda, że się pan z szefem nie będzie mógł widzieć. Poszedł na granicę, wie pan.

Mój pułk jest w Wady Halwa i sądzę, że pan powinien się tam niezwłocznie zgłosić. Nie. Ja panu miałem dać rozkazy.

Poprowadził go do mapy na ścianie i wskazał końcem swego cygara.

— Widzi pan to miejsce? To oaza Kurkur. Mała i obawiam się, że może trochę za nadto spokojna, ale wyborne tam powietrze. Masz się pan tam udać możliwie najrychlej; znajdziesz tam kompanię dziewiątego pułku i pół szwadronu kawalerii. Nad nimi obejmiesz pan komendę.

Hilary Joyce spojrział na nazwę wydrukowaną u skrzyżowaniu się dwóch linii i widział, że dokoła w dość wielkim promieniu nie było żadnych innych punktów.

— Czy to wieś? — zapytał.

— Nie. Ale jest to bardzo ważny punkt, w którym przecinają się dwie ruty karawano- we. Teraz wprawdzie wszystkie drogi są zamknięte, ale nie można nigdy wiedzieć, co się tam może zdarzyć. Są tam źródła mineralne, i obawiam się, że woda tam nie bar-

*) Debiut — pierwszy wstęp, pierwszy popis.

*) Bimbasza — spolszczone z bin-baszi, co oznacza majora w armii tureckiej, a właściwie głowa tysiąca, tysięcznik.

SZARAŃCZA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Artura Gruszeckiego.

(Ciąg dalszy.)

Wychodząc z kościoła, dała ślepej bratraczce jałmużnę, będąc głęboko przekonana, że Matka Boska, jeśli tylko zechce, wróci jej stokrotnie.

A pieniądze były bardzo potrzebne, gdyż z pensji musiano spłacać miesięcznie dług dawniejszy z czasów wesela i jej choroby, a drożyzna życia nie pozwalała, mimo wielkiej oszczędności, odłożyć coś na czarną godzinę.

Lecz w tej chwili nie myślała o kłopotach pieniężnych; jasne słońce majowe rozpromieniło jej umysł; rozkwitłe bzy i kasztany, woń kwiatów wiosennych upajały ją, rozweselały i z uśmiechem na świeżej twarzyczce szła do parku, prowadząc za rękę synka.

W drodze spotkała lekarza Dauma, który z nadzwyczajną uprzejmością towarzyszył jej w dalszej przechadźce.

Panie doktorze, ma pan jakie wiadomości z miasta? — spytała po chwili.

Dzień jest tak piękny, słońce świeci tak jasno, wokoło kwiaty i życie; czyż warto zajmować się drobnostkami? — odrzekł rozmarzony.

— Dla pana są to drobnostki, ale dla męża i dla mnie to kwestya bytu. Powiedz mi pan, proszę; nie cierpię niepewności.

Życzenie pani jest dla mnie rozkazem — odparł banalnym frazesem, z uśmiechem słodkawym. — Więc wczoraj klub szachistów uchwalił rezolucję, potępiającą artykuł. Naprawdę ja i kilku moich przyjaciół sprzeciwiliśmy się: przegłosowano nas. Dziś będę w Towarzystwie lekarzy i w radzie miejskiej; zrobię wszystko, aby agitację powstrzymać!

Dziękuję panu! — szepnęła zasmuciona.

Pani Maryo — mówił lekarz przekonująco. Czy cała sprawa warta smutku pani? Rozważmy tylko, co może nastąpić w najgorszym razie? Dajmy na to, mąż pani straci miejsce, to przecież jako człowiek zdolny, zawsze znajdzie posadę... Nietylko mnie, ale i innych ludzi to, że pan Krempa nie założy własnego pisma.

Spojrzała na niego zdziwiona i ich o odpowiedziała:

Na nowe pismo potrzeba funduszków... Ach, to najmniejsza rzecz — zawołał lekarz z żywością — mam coś własnego kapitału, trochę można pożyczyć z banku, trochę dadzą fabryki, którym zależy na reklamie i pismo stanie... Mam znajomych fabrykantów, u dwóch jestem stałym lekarzem; coś uradzimy, nie damy zginać takiemu człowiekowi.

Ach, jaki pan dobry westchnęła mimowoli z rozczuleniem.

Weszli do parku. Delikatne, niemal przezroczyste cienie, przerywane smugami światła, kładły się na czystych, zielonych ścieżkach; złotawo-zielone liście wabiły oko grą światła; szereg hyacintów, narcyzów, pełnych fiołków i stokrotek oddychały wonnym zapachem. W krzewach i wśród drzew kryły się rozśpiewane ptaki. Cały park oddychał nowym życiem, niezwykłą wonią, harmonijną pieśnią ptactwa i szmerem owadów. Zdała od gwaru miasta, łoskotu i dymu rozlicznych fabryk, ten skrawek ziemi zdawał się żyć spokojem bez nudy, szczęściem bez rozczerowania, smutkiem bez goryczy.

Minęli banalny swą sztuczną groza biust Bismarcka i weszli na otwarty plac, okolony drzewami, z klombem rozkwitłych kwiatów w środku. Liście drzew przeświecały promieniami słońca, bawiły oko rozmaitością natężenia barwy zielonej.

Od złotawo zielonych listeczków brzozy, trochę ciemniejszych lipy, połyskliwych, jakby lakierowanych wierzy, po-

bladłych ze strachu drżącej osiki, do niebiesko zielonych igieł świerka stanowiły one harmonijną całość, dzięki umiętej ręce ogrodnika.

Oboje milczeli. On, patającym wzrokiem patrzył na leciutki jej kapelusz ozdobiony fiołkami, na lekko zaróżowioną twarz, na smukłą jej kibić i chód elastyczny; ona odczuwając bezwiednie piękność parku w pogodnym dniu majowym, czuła się spokojną, prawie szczęśliwą dzięki ufności w przyjaźń i pomoc lekarza.

Usiedli na ławce, w cieniu niemal przezroczystym, pozwalając uszczęśliwionemu Adalbertowi bawić się z dziećmi na pobliskiej łączce.

Po kilku frazesach o piękności pogody i parku, rzekła pani Marya do lekarza: Byłam dzisiaj w kościele i po modlitwie prawie byłam pewną, że spotka mnie coś przyjemnego.

Czy sprawdziło się przecucie? — spytał lekarz z uśmiechem zadowolenia.

Tak jest; to tak miło znaleźć człowieka przyjaciela, gdy w około są niechętni.

Wątpię, czy pani ma wogóle niechętnych, a co do męża pani, sam musi przypisać sobie winę. Kto słyszał kiedykolwiek o podobnym artykule w „Ostmarku”? Ale postaram się usilnie o zatarcie całej sprawy.

Dziękuję panu — szepnęła i zoczęła kreślić na piasku zygaki parasolka.

Lekarz nie odwracał oczu od pani Maryi, siedzącej profilem; patrzył z przyjemnością zmysłową na jej figurę, ruchy twarzy, poczuł falę krwi gorącej w swych żyłach i postanowił rozegrać partję. Dziś miał za sobą wdzięczność pani Maryi, jej obawę o przyszłość i wiązał ich projekt nowego pisma.

Po krótkiej chwili milczenia zaczął: wiosna sprawia istne cuda, nietylko z kwiatami, ale i z ludźmi; nawet mnie, który patrzę na tyle cierpień i chorób po szpitalach, natchnęła dziś poezją.

Nie broń się jej pan — poezja w życiu, to chwila szczęścia.

Moja poezja należy do tego rodzaju który prowadzi do pesymizmu i rozpacz.

Pani Marya spojrzała trochę zdziwiona i rzekła:

Nie podejrzywałam nigdy o to pana. Sądziłam, że pan kieruje się zawsze głosem rozumu i obowiązku.

Rozum i obowiązek! — zaśmiał się z ironią — dwie siławki doskonale funkcjonujące, póki niema pożaru! Ale rozum jest zawsze na usługach uczucia, on daje sposoby, środki, siły, aby zadowolić uczucie... A obowiązek, to pies, który szarpie obcych, a lasi się do przyjaciół, zaś najbliższym moim przyjacielem jest moje uczucie.

Ja mam inne przekonanie pod tym względem — odpowiedziała poważnie — dla mnie obowiązek jest drogowskazem w życiu.

Śczęśliwa pani!... Los obszedł się ze mną surowo; sądziłem, że spokojnie i bezpiecznie pojdę równą drogą, że z niej nie zboczę i nie mnie nie wykołeci... Ale to wkracza już w mój poemat; czy chcesz go pani posłuchać?

Pani Marya w każdym innym razie nie pozwoliłaby lekarzowi wejść na ten śliski temat. Wiedziała instyktownie, wiedziała oddawna o wrażeniu dodatnim jakie robiła na Daumie, ale dotychczas zachowywała się odgórnie, niechętnie, nie dopuszczała do zwierzeń i trzymała w karchach swą fantazję i zachcenia.

Dość było jej spojrzeć na meble, obicia ścian jej mieszkania; dość było posłyszeć głos syna, Tekli aby obowiązek brał górę nad ciekawością nowych wrażeń. Ale dziś ten słoneczny park, za pach kwiatów, szmer dalekiej fontanny, ten obcy, nowy, inny świat pozwolił jej

zapomnieć o rzeczywistości, i z uśmiechem wesołym odpowiedziała:

Jeśli poemat pana piękny posłucham chętnie.

Czy piękny, osądzi pani sama... Zaczyna się on od chwili mego przybycia do Bytomia. Przyjechałem opancerzony, dumny ze swej niezależności, swobody osobistej i pewny siebie. Patrzyłem z listością na niewolników uczucia i nagle przypadek, ślepy los postawił na mej drodze kobietę; ubrałem ją w blaski słońca, w barwy tęczy; oczy jej były mi gwiazdami, oddech zapachem róży i gdy by tylko chciała, mogłaby mnie zaprowadzić na kraj świata, za świat nawet...

Pani Marya słuchała narazie słów lekarza z pewną przyjemnością, gdyż każda kobieta, a może i każdy człowiek przyjmie bezwarunkowo wszystko, co uznaje lub podnosi jego zalety fizyczne, czy moralne; co dodaje nowy brylant do dyadematu egoizmu.

Lecz zmieniony głos lekarza i jego mimowolne nachylenie się ku niej ostrzegły ją przed niebezpieczną grą. Dopuszczać do wyznania nie chciała; bawiła ją tylko słowa zachwyty, ale daleką była od jakichkolwiek uczuć dla swego wielbiciela kochając szczerze i serdecznie swego męża. Szorstka odprawa mogłaby znów zrobić z przyjaciela wroga, a w obecnym położeniu roztropność nakazywała nie zrażać lekarza; więc z przymuszoną wesołością rzekła:

Poemat pana jest zbyt idealny i niepochwytly. Wróćmy lepiej do rzeczywistości, która jest istotną poezją. Patrz pan na kwiaty, jak skłaniają się ku słońcu, otwierają kielichy różnobarwne, niemal uśmiechają się do promieni słonecznych i są szczęśliwe.

Bo kwiaty są bezmyślne! — odparł zgrzytliwie. — Każde szczęście jest progiem nieszczęścia, jak mówi poeta Słońce je spali, zwiędnię i zgina. Ale i ludzie wiedzą coś o tem, a jednak lecą do zabójczego światła, jak ćmy.

Nie światło je pali, lecz ogień, a wy bór ognia palącego lub grzejącego zależy od człowieka.

Jakież ogień wybrała pani? — spytał z ironią.

Mój ogień jest dla mnie i światłem i życiem. Kocham męża i syna i jest mi bardzo dobrze na świecie... Sądzę, że i pan pozbyłby się swego pesymizmu, gdyby pan pokochał i ożenił się.

Daum, rozdrażniony, podniecony temi słowami i wyznaniem, postanowił zagrać o całą stawkę. Dość już tych omawiań, chwiejności, półsłówek. Sposobniejszej chwili nie znajdzie: byli sami, bez świadków, w parku; więc zaczął przyciszyć głosem:

Słowa pani są dla mnie tak dotkliwe. Bolesne niemal, że tylko tak ślepy, jak jestem przy pani, potrafię je usprawie dliwić. Wszak pani wie oddawna, iż...

Wtem tuż między nich wsunął się zdyszany Adalbert, wołając:

Mamo, tamte dzieci poszły już na obiad czy i my pójdziemy?

Oboje drgnęli. Pani Marya zarumieniła się pod wpływem uczucia ulgi i zakończenia drażliwej rozmowy.

Lekarz patrzył na Adalberta z gniewem i oburzeniem: już miał na ustach frazes o miłości, zdawało mu się, że już był panem sytuacji, że jeśli nie osiągnie to w każdym razie bardzo się zbliży do celu swych starań i zabiegów; a tymczasem odezwane się dziecka popsulo, a w każdym razie oddaliło upragnioną chwilę.

Pani Marya, głosem łagodnym, patrząc na dziecko z wdzięcznością, odpowiedziała:

Pójdziemy i my do domu... Która godzina, panie doktorze?

Dziesięć minut po dwunastej — rzekł sztywnie, gdyż czuł żal do niej, bo przeszkodziło mu jej dziecko; bo swym zachowaniem, rozmową, opóźniła wyznanie miłości, bo nie odsyła dziecka na łąkę, lecz zatrzymuje je przy sobie.

Pani Marya wstała z ławki i wzięwszy syna za rękę, spytała:

Czy pan doktor zostaje?

Tak, zostanę, odprowadzę jednak panią. Szli w milczeniu, szukając oboje tematu do rozmowy. Pani Marya radaby była poruszyć przedmiot obojętny, a nie rażący lekarza banalnością; on znów przemysliwał nad utrwaleniem wpływu swego i dzisiejszych wrażeń.

Zdawało mu się, że kwestya pisma nowego powinna go ściślej zespolic z Krempami, których był zawiśł niemal zupełnie o kaprysu redaktora „Ostmarku”. Po chwili zaczął ze sztuczną swobodą:

Co do pisma, o którym mówiliśmy, postaram się wkrótce postawić tak sprawę, że pan Krempa zerwie dojrzały owoc.

Gra była zbyt wyraźna, by nie poznała się na niej pani Marya, którą narazie oburzył ten zamiar przekupstwa... Ale te nieszczęsne stosunki pieniężne, ten chybiony artykuł, niepewność przyszłości, obawa wpływu Dauma w mieście prowincjonalnem oddziaływały uspokajająco i z uśmiechem, który miał być przyjaznym, odpowiedziała:

Pan doktor jest istotnie naszym przyjaciелеm i gdyby się powiodło, byłibyśmy oboje bardzo wdzięczni.

Zrobię, co będę mogła, aby panią zadowolić — odparł banalnym frazesem, a czując niewłaściwość rozmowy o tym przedmiocie, pożegnał się wkrótce.

Pani Marya, zostawiając samą, rozmyślała o lekarzu.

Bądź co bądź, pozycja Dauma jest pewna, niezależna, dołatnia i ulegając ogólnej zasadzie kobiet, dążących zawsze do ożenienia kawalerów, powzięła projekt wyswatania swej siostry, podobnej do niej z twarzy i ruchów.

I tak dalece zajęła się tym planem, że szła ulicami niemal instyktownie, nie zważając na przechodniów, na otoczenie tylko kiedy niekiedy zwalniała kroku, by Adalbert mógł nadążyć.

Weszła na stary rynek, obramowany sklepami. Szła, nie zważając na gwar ludzi, dopiero głos jej synka:

Mamo, czy mama widzi? obudził ją z marzeń. Spojrzała. O jakie pięć kroków przed nią za sklepu galanterijnego wychodzili „piesznie” Szlązak i dwie Szlązaczki, a za nimi zjawił się w progu kupiec, zaczerwieniony z gniewu, z piścią podniesioną, krzycząc głośno:

Precz, bydlęta! Zanieczyszczacie mi sklep swoim narodowym brudem!

A gdy przechodnie i sąsiedzi patrzali ciekawie, mówił zwracając się do nich: Przychodzi taki brudas do mego sklepu, nie zdejnie czapki, wybiera towar, targuje się i nie kupuje. O wy, świniopasy!

Wypędzeni Szlązacy chcieli przemówić w swej obronie, ale już nietylko kupiec, lecz i widzowie krzyczeli:

Milczcie, hołoto!

W tej chwili nadszedł policyant, a dowiedziawszy się o przyczynie zbiegowiska, zawyrokował z powagą, nie znośną opozycji:

Idźcie na żydowską ulicę kupować towary. Tu nie są wasze chlewy i wasze tandety!

Widzowie wybuchnęli grubym, brutalnym śmiechem, wołając:

Marsz do żydów! Wasepolak a żyd, to jedna wiara!

Adalbert ścisnął konwulsyjnie rękę matki i podnosząc do niej swe piękne, niebieskie oczy, spytał przerażony:

Mamo, czy i tych bić będą?

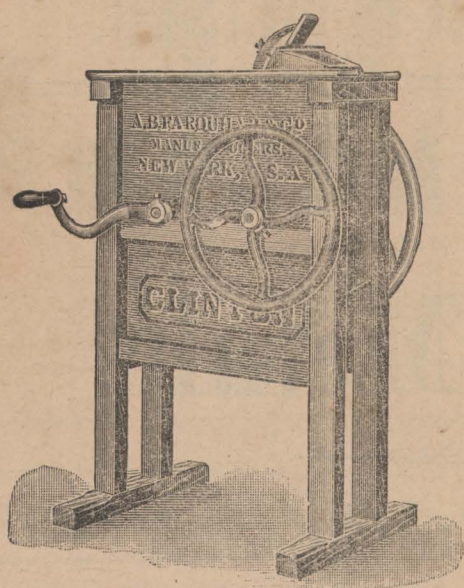
Nie, nie, moje dziecko, przecież oni nie zrobili nic, — złego odpowiedziała matka i szła spokojnie dalej, tylko Adalbert kiedy niekiedy odwracał głowę w kierunku Szlązaków.

Przy obiedzie opowiadał Krempa o przejściach, jakie miał dzisiaj z redaktorem, o swym artykule, o wizycie i dziwnej skardze Wierzbika.

Zona słuchała go roztargniona, pochłonięta najzupełniej planem ożenienia Dauma z siostrą swoją i rozdrażniona swą niewyraźną pozycją. Jeżeli mężowi powie o nadskakiwaniach lekarza ten zerwie z nim stosunki; narazi tem sobie wpływową osobę, projekt nowego pisma upadnie; lekarz przestanie u nich bywać a tem samem nie ożeni się z jej siostrą. Wszystko przemawiało za ukryciem: przecież ona sama poradzi sobie z Daumem, po co, na co, i w jakim celu kłopotać męża i tak już stroskanego. Ta jednak walka wewnętrzna rozstrzeliła ją i zaniepokoiła, odpowiadała krótko, niechętnie i niecierpliwie.

Na skargę męża, że zupa niedobra, a pieczeń twarda, rzekła z nerwowym uśmiechem:

To wina kucharki. Tekla sama gotowała, bo poszłam na spacer jak mi sam radziłeś.



DOM IMPORTOWY Luiz Rose

Rua Jose Bonifacio Nr. 8.

(naprzec w jatkę p. Garmatra).

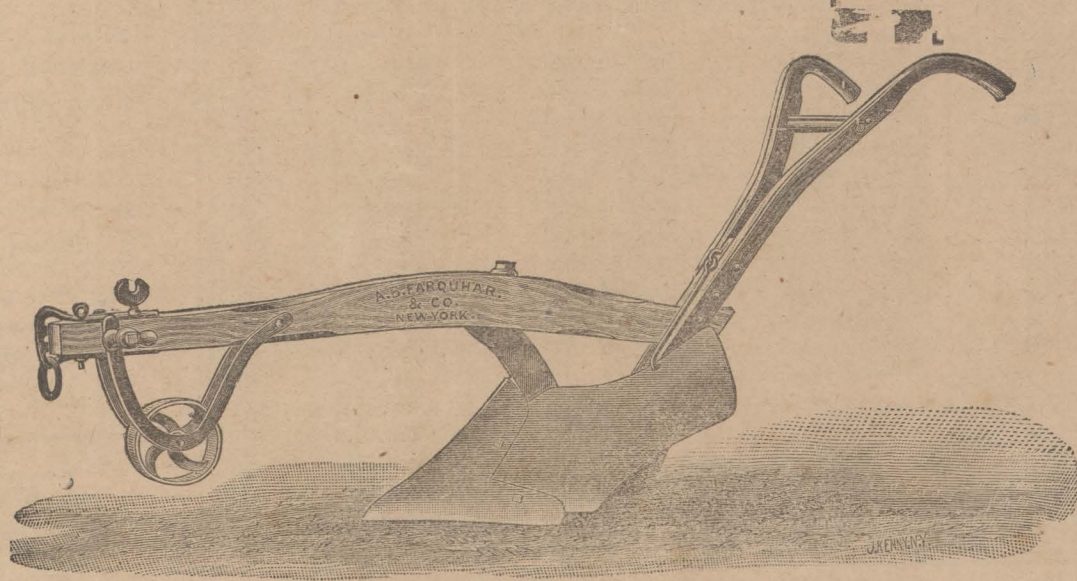
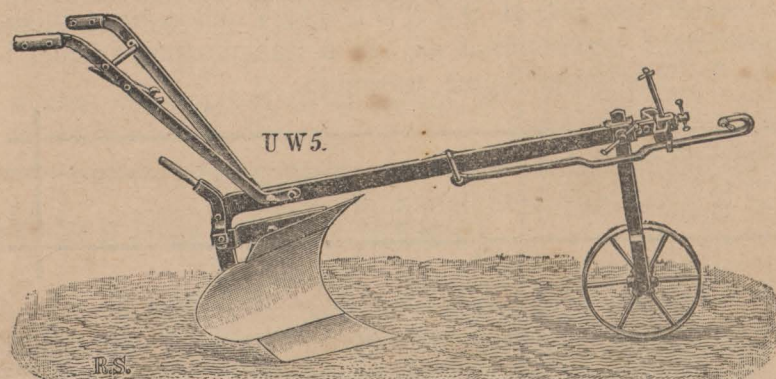
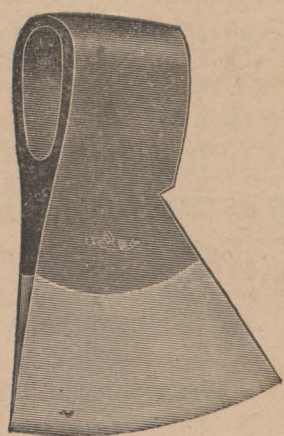
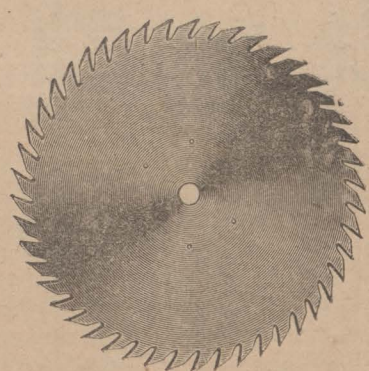
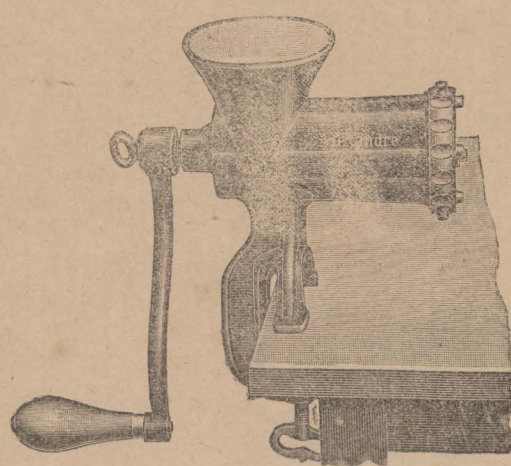
Wielki skład sprzętów stołowych, Szkła rżniętego wszelkich rozmiarów, Oleju, Farb różnych gatunków i kolorów, Narzędzi rzemieślniczych wszystkich rozmiarów i po wszelkich cenach.

SIECZKARNIE, PŁUGI, MASZYNY do obłuskiwania kukurydzy, Maszyny do szycia i t. d.

Na składzie znajdują się: Sierpy, kosy, blachy, piły duże i małe, gwoździe od największych do najmniejszych, zamki, zwiąsy, śruby, mufle, łopaty, kopaczki, hamulce. **Kieraty** do sieczkarni, **Maszyny** do mięsa **Siekiera**, **Hyble**, Cement marka „Czerwony krzyż”.

Wielki wybór pługów amerykańskich i całych żelaznych.

Ceny bardzo niskie! Proszę się przekonać!



Baczność!!

== Okazy, która się nieprędko powtórzy. ==

Kto potrzebuje artykułów dewocyjnych i materiałów piśmiennych, niech korzysta z nadarzającej się sposobności i niechaj spieszy do handlu CEZARA SZULCA, gdzie z powodu mającego nastąpić przebudowania domu urządzi się wysprzedaż po bajecznie niskich cenach. Znajdzie tam w olbrzymim wyborze krzyże, kropielnice, różańce, szkaplerze, obrazy religijne, figury, lichtarze, świeczniki (pajaki kościelne), książki do nabożeństwa i wogóle wszystko co do tego działu należy.

Z materiałów piśmiennych i przyborów szkolnych poleca się kajety, ołówki, rączki od zwykłych do najwykwintniejszych, papiery i koperty listowe, książki szkolne, księgi handlowe, przybory dla inżynierów, papier do pakowania (po 700 rs. za kilo), szpagat, kałamarze, atramenty, wiązarki etc. etc.

Celem opróżnienia składu sprzedaje po SPECYALNIE NISKICH CENACH bibułki jedwabne, kolorowe i papiery do robienia kwiatów, liści i tulipanów.

Kupujcie więc póki zapas starczy, bo wysprzedaż będzie tylko trwała 3 do 4 miesięcy.

Pozatem polecam: moją wzorowo urządzoną drukarnię, introligatornię i fabrykę pieczętek kauczukowych.

Wszelkie zamówienia w moich zakładach wykonuje się dokładnie, gustownie, czysto, szybko i po możliwie niskich cenach.

Cesar Sulc

ul. Barao do Serro Azul 1, 12--14

CURITYBA, ESTADO DO PARANÁ.

SKŁAD KAPELUSZY „VENUS”
i Fabryka Parasoli

Stanisława Wojskiego

przy u. 15 de Novembro Nr. 20.

Posiada zawsze na składzie duży wybór kapeluszy męskich i dzieciennych wszelkich fasonów. Parasole i parasolki jedwabne, satynowe i t. p. materiały. Sprzedaż obuwia męskiego, laski, koszule, krawaty, skarpetki, chustki i t. p. to wary. Naprawia się parasole i odświeża kapelusze.

SPRZEDAŻ DETALICZNA i HURTOWNA. — Dla Pp. Kupców DUŻY RABAT.

Ceny bezkonkurencyjne.

Towary są sprowadzane z pierwszorządnych fabryk europejskich

STANISŁAW WOJSKI, rua 15 de Novembro Nr. 20.

Zakład Kapeluszniczy

Chapelaria Bube

rua Barão do Serro Azul 26.

Posiada zawsze na składzie kapelusze dla mężczyzn i chłopców w najrozmaitszych gatunkach. Zamówienia wykonuje się pod gwarancją i po cenach nadeprzystępnych.

Odnawia się zniszczone kapelusze po cenie 3.000 do 6.000

AKUSZERKA

z dyplomem Warszawskiego Instytutu Położniczego i długoletnią praktyką udziela porad i przyjmuje zamówienia.

Praca Tiradentes Nr. 47. — Telefon Nr. 356

Ludwika Gross,

KALENDARZE

na rok Pański 1912

wkrótce nadejdą i będą do nabycia w drukarni i księgarni

Cesara Schulca

rua Barao do Serro Azul, — Curityba, Parana.



HAUER SYN I WEISER.

DOM HANDLOWY

pod nazwą

„Casa Metal“.

Na składzie znajduje się wielka ilość żelaza i stali w sztabach dla wyrobu mechanicznego i kowalskiego.

CYNK I BLACHA CYNKOWA, Maszyny Rolnicze wszelkiego ro-
dzaju. CEMENT i t. p.

Kompletny asortyment wszelkich naczyń rzemieślniczych: kowalskich, ślusarskich, stolarskich, ciesielskich, mularskich i t. p.

Skład Farb Malarskich wszelkich gatunków:
*Pokost, Smary i Oleje. — Terpentyna i Lakiery
angielskie i t p.*

SZKŁO WYSTAWOWE, SZYBY DO OKIEN, DRUT KOLCZASTY.

Ługi najnowszej konstrukcyi, Bron.

Naczynia Kuchenne, Noże, Łyżki, Widelce (Solingen), Garnki, Rondle, Brytwanny z lanego żelaza i emaljowane.

PORCELANA, KRYSZTAŁY, WYROBY ZE SZKŁA I FAJANSOWE WE
WIELKIM WYBORZE.

Wielki wybór jaki posiadamy na składzie daje nam możliwość sprzedaży **JAK NA JAK NIEJ**. Posiadając zupełną znajomość handlu i odpowiednią praktykę jesteśmy w możności dać klienteli naszej wszelkie udogodnienia w sprzedaży.

Zapraszamy Sz. Publiczność i naszych przyjaciół ażeby łaskawie
zechcieli odwiedzić nasz DOM HANDLOWY gdzie będą mieli
najlepszą sposobność przekonania się, że u nas można najlepiej i
najtaniej kupić wszystko.

Wejście do składu żelaza z ulicy bocznej, gdzie znajduje się wygodny przystanek dla wozów.

Hauer Syn i Weiser.

Ul. 15 de Novembró 42 — Skrzynka poczt. 140. — Telefon 482.

Adres dla depesz: M F T A L.

Sklep Polski

(Seccos e Molhados)

przy ulicy Sao Francisco de Paula Nr. 2.

Macieja Otto

Poleca Sz. Rodakom Mąkę pszenną, żytnią i kukurydzianą, Cukier, Ryż,
Sól, Fizon, Kukurydzę i t. p. produktu rolne i kolonialne.

Posiada zawsze na składzie wszelkie trunki tak krajowe, jak i zagranic-
czne i wielki wybór naczyń kuchennych we wszelkich gatunkach.

Sprzedaz hurtowna i detaliczna,
CENY UMIARKOWANE.

Loty miejskie do sprzedania.

W miasteczku Iraty przy głównej ulicy blisko stacyi kolejowej sa razem do sprzedania 3 loty miejskie za P R Z Y S T E P N A C E N Ę. Na pierwszym z nich stoi piękny dom mieszkalny, na drugim również obszerny dom mieszkalny z urządzeniem sklepowym, a na trzecim wielkich rozmiarów skład na herwę; do pierwszego przytyka jeszcze portreira obszaru około 4 akierów, z czego 2 alkiery ogrodzone, a dwa kapuery. Tyły lotów odgranicza rzeczka.

Blizsze szczegóły w Redakcyi „Gazety Polskiej“.

SKLEP POLSKI

Wiktora Stachonia

przy ul. **Commendador Araujo** 1. 2. w Kurytybie.
(dawniejszej Matto Grosso.)

Ma na składzie wyborne płótna, perkalę, zefiry, materye lniane i wełniane dla pań i dla panów, koronki o prześlicznych wzorach, kołdry czyste wełniane, kapy na łóżka, obrusy — wszystko z najlepszych fabryk tak krajowych jak i europejskich i po cenach niebywale niskich.

Szczególnie poleca i to po cenach niemal fabrycznych wielki wybór ka-
peluszy męskich, krawatów, koszul białych i kolorowych, parasoli, parasolek i t. p.

Ważne dla Wielebnego Duchowieństwa
i Zarządów Kościelnych.

Powyższa firma otrzymała zastępstwo na Brazylię największej fabryki austriackiej dzwonów i aparatów kościelnych Maksymiliana Samassy w Lublanie i przyjmuje zamówienia na warunkach fabrycznych.

Na żądanie wysyła interesowanym cenniki bogato ilustrowane.

Swój do swego!